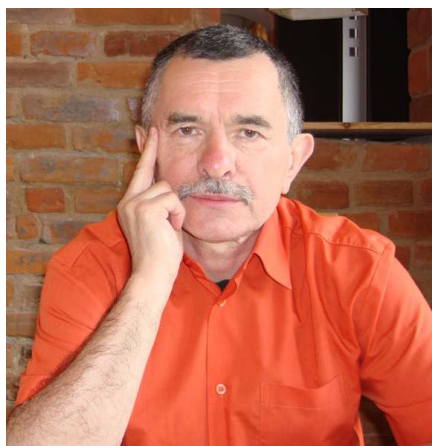


JÓZEF BARAN

KONCERT DLA NOSOROŻCA (46)

DZIENNIK POETY Z PRZEŁOMU WIEKÓW
(FRAGMENTY)



Pokutuje stereotyp, że mormoni mają po kilka żon, jednak już dawno tak nie jest; w 1890 ich Kościół zabronił poligamii, w rezultacie Utah otrzymał prawa stanowe. Inna ciekawostka: mormoni są właścicielami najbogatszego w świecie zbioru danych dotyczących ludzi żyjących w ostatnim stuleciu w różnych krajach... Oryginały tych ksiąg znajdują się gdzieś w skałach w pobliżu Salt Lake City. Dawniej była to mozolna robota, gdy trzeba było zdobywać dane, rozjeżdżając się po świecie. Ich „służby wywiadowcze” spenetrowały też parafie polskie, o czym mogłem się przekonać cztery lata temu, szukając w bazie komputerowej w ich świątyni w Moscov danych z Borzęcina. Były! A jakże! Co prawda niekompletne, bo tylko do 1918 roku... Znalazłem m.in. datę urodzin mojego dziadka Jana Bacha... a więc dotarli nawet do mojej wsi, a po odzyskaniu niepodległości Kościół polski, prawdopodobnie zabronił im wglądu w księgi parafialne. Te dane są dla nich – ponoć – nieodzowne na wypadek, gdyby chcieli uczynić kogoś... pośmiertnie – mormonem, co jest u nich możliwe i praktykowane. Można „ochrzcić” wstecz dusze umarłych, włączając w poczet mormońskich. Słowo „ochrzcić” jest w tym wypadku oczywiście nieścisłe, bo „zbawianie dusz” – a tak rozumieją swoją misję – odbywa się w jakiś inny sposób... nie znam szczegółów... w każdym razie – co zakrawa na makabryczny żart – mormoni „ochrztili” ponoć na mormonów dusze Żydów zmarłych w obozach koncentracyjnych!... Na wszelki wypadek nie rozmawialiśmy o tym z Jackiem i Tiną. Leszek woli w ich obecności poruszać bezpieczniejsze tematy; nie zagłębiać się specjalnie w ich prawdy wiary, wystarczy mu – jak mówi – że są wspaniałymi ludźmi, żyją szlachetnie, mogą być wzorem do naśladowania, a w momencie kryzysowym, jaki przeżył po tragicznej śmierci żony Zuzi, wykazali się ofiarnością, pilnowali go i pomogli mu jak nikt.

Dom Jacka i Tyny leży na granicy trzech stanów; Idaho, Utah i Wyoming. W drodze powrotnej z Paris mijamy mały sklepik „kolonialny” w granicach Idaho – świetnie zaopatrzonego w alkohol i losy na loterię. Cieszy się ogromnym wzięciem, ponieważ ściąga tu jak muchy do lepu mieszkańcy z Utah, gdzie sprzedaż alkoholu i losów jest zakazana. Trzeciego dnia pobytu Tina

podbija moje serce wspaniałym obiadem (anrykot z kurczaka i indyka, sałatki), a Jack – wrażliwością na naturę. Podwozi nas wszystkich do rezerwatu ptaków nad Jeziorem Niedźwiedzim, gdzie dojrzelśmy ibisa na wolności, pelikana, żurawia, kaczkę kanadyjską i wiele innych rzadkich ptaków. Potem jedziemy do Wąwozu Diabelskiego, gdzie wyjawia nam po bratersku swoje ulubione skrytki krajobrazowe: wypatrzoną przez siebie tamę bobrów, wzgórze, gdzie zobaczył dwanaście jeleni. Odkrywamy przez lornetkę w białotopowym lesie klemkę z małym łosiem. Potem podwozi nas pod wytryskujące, dosłownie spod wzgórze, źródła, które zamieniają się natychmiast w rzekę. A my zamieniamy się w 14-letnich chłopców – z nosami przy ziemi tropiącymi ślady sarny, jelenia, łosia, jeżozwierza. Jack rozpoznaje w odchodach pozostawionych przez pumę sierść zjedzonego jelenia. Las nie ma dla niego tajemnic. Uwolnieni z krawatów, garniturów i tytułów zapomnieliśmy, kto z nas profesorem, kto poetą, pułkownikiem, pielęgniarem, a kto mormonem czy katolikiem? Zaczęliśmy w wielkiej księdze natury powróciliśmy do lat chłopięcych, do książek Londona, Curwooda i Coopera.

„Jedźmy, nikt nie woła” – powtarzam jak echo za wieszczem Adamem, żeby się ocykać z pastuszych wspomnień. Żegnamy się z gospodarzami, B. przy kierowcy, ruszamy wraz z drogą biorąc nasze dzielne auto na plecy i pędzącą gdzieś, gdzie oczy poniosą – w daremnej pogoni za widnokresem. Dookoła skały, czerwone piaskowce wyschnięte na kość, choć porośnięte zagajnikami „aspens” (topole, osiki, licho wie co?). Na niebie bele obłoków, błękitne prześwity, gdziekolwiek wpadają mi w oko tereny rolnicze z deszczownicami jak upadłymi szybowcami, służącymi do nawadniania cieniutkiej warstewki gleby. Tak, tu walczy się o każdy kawałek uprawnej ziemi. Mijamy stado krów (chyba kilkaset) z kowbojką na koniu, budkę farmerską, tabliczkę z napisem „kara za zaśmiecenie – 100 dolarów”, jakiś tunel, wodospad, miasto Ogden, dwie świątynie mormonów i wjeżdżamy w 40-kilometrowy piekielny odcinek czteropasmowej obwodnicy wokół Salt Lake City. Tłok na szosie, gorąco, uff, byle się stąd wydostać poza stolicę rozciągniętą na wzgórzach! Wreszcie pojawiają się drzewa, które uszlachetniają przyrodny krajobraz, znów deszczownice, zielone uprawy, pastwiska, powulkaniczne stożki górskie, miasto Aurora, cmentarzysko wraków samochodowych, „góry odarte ze skóry”, krajobraz księżycowy z tujami czy jałowcami, makatkowe stado jeleni w krzewach szałwi na tle zachodzącego słońca... Wspinamy się coraz wyżej, znów jesteśmy na wysokości 1500 metrów, serpentyny, zjazd w dół nad Jezioro Ryb, gdzie udaje nam się znaleźć domek kempingowy za 70 dolarów z witającym nas kolibrem na (chyba?) osice. Ciepło. Jeszcze przed zapadnięciem zmroku doczytaliśmy się z tablic nad jeziorem – jak „koko-sowe interesy” robili Indianie z białymi. W 1867 to ogromne, kilkudziesięciokilometrowe jezioro z rojowiskiem ryb prawowici właściciele sprzedali Towarzystwu Wodnemu za – uwaga! – 500 funtów mąki, 7 koni, 1 jałowkę, 1 komplet ubrań i prawo do wędkowania. A w kilkanaście lat później zostali stąd wyrugowani.

Parrot

Z Jeziora Ryb już tylko 4 godziny drogi do jednego z najdziwniejszych miejsc na Ziemi – Bryce Canyon. Powstał w szczególnych okolicz-

nościach: z ponad 30-kilometrowej półki skalnej płaskowyżu na wysokości 2400 metrów, obsunęły się kolorowe warstwy skalne, pozostawiając mnóstwo fantazyjnie ukształtowanych form. W wyniku erozji miękkiego piaskowca przez wieki powstawały rzeźby godne dłuta Michała Anioła czy naszego Wita Stwosza. Tajemnicze postacie pielgrzymów, zameczki, baszty, iglice, figury szachowe, grzyby, rycerze, dworki – skrzęta kolorami w słońcu, które jak wielki reflektor prześlizguje się po tej wystawie rzeźbiarskich arcydzieł natury, wyświetlając coraz to inne szczegóły. Cokolwiek sobie wyobrazisz – odnajdziesz w tych siedmiu skalnych „amfiteatrach”, na dnie których – wąwozy, korytarze, chodniki, tunele, w których łatwo zablądzić. Mormon, Ebenezer Bryce, który pierwszy usiłował żyć na tej ziemi, kłął jak szewc i powtarzał w kółko „co za cholerne miejsce, spróbuj tu zgubić krowę”.

Gdziekolwiek jesteśmy, a nie chodzi tylko o turystyczne szlaki, ludzie witają nas, pozdrawiają, proponują zrobienie zdjęcia i my ich witamy, pozdrawiamy, proponujemy zrobienie zdjęcia, i tak się nawzajem witamy, pozdrawiamy, uśmiechamy, mówimy *Hi, I'm fine!* Raz i drugi zapatrzyłem się: to na piękną, wysmukłą dziewczynę, to znów na 200-kilogramowego babizona... i jedna, i druga w odpowiedzi wyszczerza zęby w uśmiechu z sakramentalnym *Hi!* „Co jest – zachodzę w głowę – skąd ten wersal na Dzikim Zachodzie?” Wreszcie wymyśliłem: „Wiesz co, Leszku, to pochodzi z czasów, kiedy traperzy pozdrawiali się na ścieżkach, dając znać, że nie będą do siebie strzelać?” „Tak myślisz” – drapie się Leszek po łysinie. „A mnie się zdaje, że »uśmiechnięta Ameryka«, to zasługa ostatniego półwiecza. Niektóre formy grzecznościowe zrodziły się nawet na moich oczach...”. To tłumaczenie wydaje mi się jednak za proste: „Zobacz – próbuję drażnić – Ameryka to beczka prochu: pełna różnych nacji, relacji, racji, sprzeczności, zawiłości, wyznań, kultur. Tolerancja musi tu być zasadą istnienia, a uśmiech – warunkiem współistnienia. Żeby beczka prochu nie wybuchła, nikt nikomu nie może się dziwić, a wymianę poglądów zastępuje się komplementami. Co innego my Polacy – ironizując – sami swoi, możemy sobie pozwolić, żeby na siebie warczeć. Nas stać na wzajemną szczerść aż do bólu i na to, żeby sąsiad sąsiadowi nie powiedział w windzie przez 20 lat »dzień dobry«...”

„A ja przypuszczam – puentuje Leszek po chwili zastanowienia – że Amerykanie uśmiechami rekompensują sobie groźę i napięcie życia tutaj...”

Tak dywagując – strofowani przez B. za kierownicą, że nie przykładamy należytej wagi do widoków za oknem – wjeżdżamy w bujny zielony wąwóz, w parku Zion (Syjon). Jest zatrzęsnięty z dwu stron wyrastającymi dosłownie sprzed nosa masywami skalnymi. Kto ma klaustrofobię, powinien się trzymać z dala od tego miejsca. Kanion ciągnie się kilkadziesiąt kilometrów. Ciepło, gorąco, serpentyny... Wędrujące cienie obłoków przesuwają się po grzbietach „dębowych gór”, które czasem przybierają kształt ogromnych powulkanicznych „babek wielkanocnych”, czasem potężnych pionowych ścian; wspinają się po nich śmiałkowicie z linami. Konstruktywista Przyboś rzekłby, widząc szczyt, wystrzelający przed oczami na 1500 metrów, że jest to „ogrom odrzucony w górę”. Przez dwa dni naszego pobytu doskwierało 35-stopniowy upał jak w Kalifornii, ale na szlakach dało się wytrzymać, odpoczywając w zacienionych miejscach.

cdn.